



HONORÉ DE BALZAC

Ojciec Goriot

Ojciec Goriot

HONORÉ DE BALZAC

Ojciec Goriot

Przekład: Amelia Bortnowska



Tytuł oryginału: ***Le Père Goriot***

Przekład: **Amelia Bortnowska**

Tekst i przypisy lektury *Ojciec Goriot* Honoré de Balzaca na podstawie edycji zamieszczonej w serwisie Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl; CC BY-SA 3.0).

Opracowanie redakcyjne: **Aleksandra Sekuła, Olga Sutkowska**

Korekta: **zespół Wydawnictwa SBM**

Opracowanie graficzne: **Jacek Bronowski**

Projekt i opracowanie graficzne okładki: **Anna Witwicka**

Ilustracje na okładce: Henri de Toulouse-Lautrec, Moulin de la Galette, 1889 (domena publiczna); Dreamstime.com: © Cougarsan, © Inna Feshchyn, © Olga Lepeshkina

© Copyright for the Polish edition, cover and layout by Wydawnictwo SBM, 2022
Warszawa 2022



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.
ul. Sułkowskiego 2/2
01-602 Warszawa
www.wydawnictwosbm.pl

ISBN 978-83-8222-036-0

Wielkiemu i znakomitemu Geoffroyowi de Saint-Hilaire¹
jako świadectwo podziwu dla jego prac i geniuszu.

De Balzac

¹ Étienne Geoffroy Saint-Hilaire, francuski przyrodnik.

Pani Vauquer, z domu de Conflans, jest to kobieta w podeszłym wieku, posiadająca od lat czterdziestu mieszczańską gospodę przy ulicy Neuve-Sainte-Geneviève, między dzielnicą łacińską a przedmieściem Saint-Marceau. Gospoda ta, znana pod nazwą Domu Vauquer, daje schronienie tak mężczyznom jak i kobietom, tak młodzieży, jak starcom, pomimo to obmowa nie tknęła nigdy obyczajów tego szanownego zakładu. Trzeba wszakże i to dodać, że od trzydziestu lat nie widziano w nim prawie wcale młodych osób, zabłąkał się tam chyba taki nieborak, któremu rodzina przysyłała utrzymanie bardzo szczupłe. Jednakże w roku 1819, to jest w chwili rozpoczęcia się naszego dramatu, mieszkała tam jedna uboga dziewczyna.

Musimy posługiwać się tu wyrazem „dramat”, jakkolwiek w tych czasach oplakanej literatury stracił on wiele ze swej wziętości, z powodu że go nadużywano i naciągano wedle potrzeby. Posługujemy się nim nie dlatego, by powieść ta miała być dramatyczną, w całym znaczeniu tego słowa, ale dlatego, że fakt spełniony wycisnie może kilka łez *intra muros* i *extra*. Czy go ktokolwiek pojmie poza obrębem Paryża? Pozwalamy sobie wątpić. Szczegóły tej sceny tak są pełne spostrzeżeń i barw miejscowych, że można je dobrze zrozumieć tylko pomiędzy wzgórzami Montmartre a wyniosłością Montrouge, w tej sławnej dolinie wiecznie osypujących się tynków i rynsztoków czarnych od błota, w dolinie cierpień prawdziwych i radości często zwodniczych, w dolinie, gdzie się wszystko tak straszliwie kotłuje, że chyba nadzwyczajny wypadek może wyrzucić nieco silniejsze wrażenie. Wszakże i tutaj zdarzają się od czasu do czasu boleści wielkie i uroczyste, bo się na nie składa ogrom występku i cnoty,

na ich widok egoizm nawet zatrzymuje się wzruszony, ale to chwilowe wrażenie przypomina smaczny owoc pochłonięty z chciwością. Rydwan cywilizacji, na kształt wozu bożyszczka Jaggernaty, opóźnia się wprawdzie, spotkawszy na swej drodze serce odporne, co się nie daje zgnieść tak łatwo jak inne, ale zmiążdżwszy je po chwili, posuwa się dalej w swym tryumfalnym pochodzie. Tak samo postąpićie wy, co wzięwszy w białe ręce książkę, pograżycie się w miękkim fotelu, mówiąc sobie „może też mnie zabawi”. Przeczytawszy o tajemnych nieszczęściach ojca Goriota, zjecie obiad z apetytem, składając swą nieczułość na karb autora, zarzucając mu przesadę, obwiniając o zbytek poezji. Ach! Wierzcie mi, ten dramat nie jest ani wymysłem, ani romansem. *All is true*, jest on tak prawdziwy, że każdy znajdzie w sobie, może nawet w swym sercu, te same czynniki, z których on się składa.

Dom, w którym się mieści gospoda mieszczańska, należy do pani Vauquer i znajduje się przy końcu ulicy Neuve-Sainte-Geneviève w tym miejscu właśnie, gdzie grunt zniżający się ku ulicy Arbalette tworzy tak raptowną pochyłość, że konie rzadko na nią wjeżdżają. Okoliczność ta przyczynia się do ciszy panującej wśród ulic ściśniętych pomiędzy murami Val-de-Grace i Panteonu. Oba te gmachy nadają odrębny charakter atmosferze, powlekając ją żółtawym kolorytem, na którym jakoś posępnie ich cień się zarysowuje. Bruk tam suchy, rynsztoki bez błota i wody, trawa porasta wzdłuż murów. Najswobodniejszy człowiek musi tam ulec smutkowi ogarniającemu wszystkich przechodniów, turkot powozu to rzadki wypadek, domy ponure, ściany przypominają więzienie. Zbłąkany Paryżanin ujrzałby tam same gospody mieszczańskie lub zakłady, ujrzałby nędzę lub zniechęcenie, dogorywającą starość lub wesołą młodzież zmuszoną do pracy. Żadna z dzielnic Paryża nie jest okropniejsza, ani mniej znana. Mianowicie ulica Neuve-Sainte-Geneviève niby rama brązowa, jedynie stosowna do naszego opowiadania, przed zaczęciem którego trzeba, o ile możliwości, nastroić umysł do barw

ciemnych, do myśli poważnych, tak wędrowiec zstępujący do katakumb, za każdym stopniem prowadzącym w głąb, coraz mniej widzi światła dziennego, coraz niewyraźniej słyszy śpiew przewodnika. Prawdziwe porównanie! Któż bowiem powie, co przedstawia straszliwszy obraz: czy serca wyschłe, czy czaszki próżne?

Front gospody jest zwrócony na ogródek, wskutek czego dom przylega pod kątem prostym do ulicy Neuve-Sainte-Geneviève w miejscu najbardziej zagłębionym, gdzie ją przerzyna inna ulica. Wzdłuż całego frontu, pomiędzy domem a ogrodem, znajduje się na sążeń szeroka przestrzeń wybrukowana okrągłymi kamieniami, a dalej aleja wysypana piaskiem i otoczona wazonami z białego i niebieskiego fajansu, w których rosną krzewy geranium, olean-dry i granaty. Furtka prowadząca w głąb tej alei ma nad sobą deskę z nadpisem: *Dom Vauquer*, a poniżej: *Gospoda dla płci obojej i innych*. Przez kratę znajdującą się we drzwiach opatrzonych do-nośnym dzwonkiem widać niszę wymalowaną na przeciwnym murze, wznoszącym się przy końcu wyżej wzmiankowanego bruku. Artysta tej dzielnicy nadał niszy kolor zielonego marmuru, udając zagłębienie, pod którym umieszczono statuę przedstawiającą Kupi-dyna. Patrząc na obłupany lakier, co go pokrywa, amatorzy sym-bolów ujrzeliby w nim może mit miłości paryskiej, która się leczy o kilka kroków dalej. Na podstawie napis wpół zatarty przypomina epokę, do której się ta ozdoba odnosi, świadcząc o zapale dla Wol-tera, który powrócił do Paryża roku 1777:

„Ktokolwiek jesteś, oto obraz tego,
Kto jest twym mistrzem, był nim, albo będzie”.

Gdy noc nadchodzi, drzwi z kratą ustępują miejsca innym, całym drzwiom. Ogródek tak szeroki jak front domu, otoczony od strony ulicy murem, przylega drugim bokiem do ściany są-siedniego domu, na którym zwiesza się okrywająca go szczelnie

zasłona bluszczu. Widok ten sprawia w Paryżu malownicze wrażenie i przyciąga oczy przechodniów. Mur okalający ogródek osłonięty jest szpalerem i winną latoroślą, której owoce nędzne i zapylone bywają przedmiotem corocznej troski pani Vauquer i rozmów jej z mieszkańcami domu. Po obu stronach, wzdłuż muru, ciągnie się wąska dróżka prowadząca pod cień lip, które pani Vauquer, chociaż z domu de Conflans, nazywa uporczywie *tieuilles*, pomimo gramatycznych uwag swych stołowników. Pomiędzy dwiema równoległymi alejami znajduje się przestrzeń kwadratowa zasadzona karczochami, otoczona drzewami owocowymi karłowatego gatunku i objęta wkoło szczawiem, sałatą i pietruszką. Pod lipami umieszczono okrągły stół zielony, otoczony ławeczkami. W dni świąteczne przychodzą tu bogatsi goście, którym środki pozwalają zapłacić za filiżankę kawy i popijają ją z wolna, przy upale dochodzącym do tak wysokiego stopnia, że kurczęta mogłyby się wykluć z jaj, gdyby je umieszczono w podobnej temperaturze.

Trzypiętrowa facjata domu, nad którą wznoszą się jeszcze poddasza, zbudowana jest z piaskowca i pomalowana na kolor żółty, który wszystkim prawie domom paryskim nadaje jakiś nieszlachetny charakter. Na każdym piętrze znajduje się po pięć okien o małych szybkach, żaluzje w oknach podniesione tak nierówno, że przecznice ich zdają się kłócić między sobą. Boczna ściana domu mieści dwa okna w rząd, na parterze mają one zamiast ozdób żelaznych sztaby wyrabiane w kratkę. Poza domem znajduje się podwórze, szerokie blisko na dwadzieścia stóp, gdzie trzoda chlewna żyje w najlepszej zgodzie z kurami i królikami, w głębi widać drwalnię. Między tą drwalnią a oknem kuchennym przytwierdzono szafę spiżarnianą, pod którą znajduje się ściek brudnej wody. Z podwórza na ulicę prowadzą wąskie drzwiczki, przez które kucharka wyrzuca wszystkie nieczystości, polewając następnie kałużę czystą wodą dla uniknięcia zarazy.

Parter, przeznaczony na mieszczańską gospodę, składa się z pokoju o szklanych drzwiach i dwóch oknach wychodzących na ulicę. Ten salon łączy się z jadalnym pokojem oddzielonym od kuchni sionką, w której znajdują się schody drewniane malowane i woskowane. Trudno znaleźć coś bardziej smutnego jak ten salon, którego całe umeblowanie stanowią fotele i krzesła, obite włosianą materią w pasy błyszczące i matowe. Pośrodku stoi stół okrągły z marmuru Sainte-Anne, na którym postawiono dla ozdoby bardzo dzisiaj rozpowszechniony serwis biały porcelanowy, o złotych paskach w połowie już pozacieranych. Podłoga w tym pokoju jest dosyć nędzna, ściany obwiedzione u dołu szeroką lamperią, wyżej zaś wyklejone lakierowanym papierem, przedstawiającym główne sceny z Tele-maka, w których klasyczne osoby dla odróżnienia odmalowano żywszymi barwami. Przestrzeń między dwoma oknami o żelaznych sztabach przedstawia mieszkańcom gospody obraz uczty, którą Kalipso wydała na cześć syna Ulissesowego. Lat czterdzieści minęło od dnia, w którym powyższe malowidło ukazało się w salonie pani Vauquer, a jeszcze do tej pory nie przestaje ono pobudzać do żartów młodszych stołowników, którym się zdaje, że się wzniosą ponad swoje smutne położenie, drwiąc ze skromnego obiadu, na jaki nędza ich skazuje. Kominiek ozdobiony pośrodku szkaradnym zegarem z sinawego marmuru, a po bokach dwoma wazonami sztucznych kwiatów, co dawne czasy zdają się pamiętać. Ognisko kominka, zawsze czysto umiecione, zdaje się mówić, że ogień bywa tu rzadkim gościem. Pierwszy ten pokój przejęty jest wonią, niemającą w mowie ludzkiej odpowiedniego określenia, najwłaściwiej byłoby nazwać ją wonią gospody. Czuć w niej zaduch, stęchliznę, pleśń, wieje z niej chłód, wilgoć utrudniająca oddech i przejmująca odzienie, unosi się zmieszany zapach różnych potraw, a wszystko razem przypomina izbę czeladną, kredens, szpital. Może by się to dało jaśniej wyrazić, gdyby był sposób zanalizować pierwiastki ulatniające się z atmosfery *sui generis*, otaczającej każdego mieszkańca

tego domu. A jednak, pomimo tych wszystkich obrzydliwości, salon opisany, w porównaniu z sąsiednim pokojem, wydaje się woniejący i wykwinny jak buduar. Ściany drugiego pokoju, od góry do dołu wykładane drzewem, były niegdyś kolorowe, ale dziś widać tylko jakieś tło nieokreślone, na którym pokład brudu zarysował się w dziwaczne wzory. Do ścian poprzybijano półki pokryte jakąś lgnącą warstwą, a na nich stoją zapyłone i powyszczerbiane karafki, wraz z podstawkami metalowymi, wyrabianymi w deseń naśladujący morę, obok zaś piętrzą się stosy talerzy porcelanowych z niebieską obwódką, z fabryki w Tournai. W kącie stoi pudełko z numerowanymi przegródkami, służące za ogólny skład serwet poplamionych i zalanych winem. Spotkasz tutaj ten rodzaj sprzętów, co najlepiej opiera się niszczącej sile czasu i, zewsząd już wygnany, sprawia takie wrażenie, jak szczątki społeczeństwa w szpitalu chorób nieuleczonych. Zobaczysz tu barometr z kapucynem zapowiadającym deszcz, wstrętne malowidła odbierające apetyt, w ramach lakierowanych ze złotymi brzeżkami, zegar ścienny z szylkretu wykładanego miedzią, zielony piec, kinkiety Arganda, w których oliwa zgęstniała od kurzu, długi stół pokryty ceratą, dosyć zatłuszczoną, by krotochwilny stolownik mógł wypisać na niej swe imię, posługując się palcem w braku rylca, dalej krzesła kulawe, nędzne słomianki, przenośne piecyki zużyte, popsute, z połamanymi zawiasami i przepalonym drzewem. Chcąc wyrazić jak dalece wszystkie te meble są stare, popękane, struchlałe, drżące, stoczone, połamane, wykrzywione, roztrzęsione, dogorywające, potrzeba by długiego opisu, przez co opóźniłby się wątek powieści, a tego nigdy by mi nie darowali niecierpliwi czytelnicy. Czerwona podłoga pełna jest zagłębień, powstałych w skutek niejednokrotnego malowania i szorowania. Jednym słowem, panuje tu nędza pozbawiona strony poetycznej, nędza ukrywana, oszczędzająca się, wyszarzana, niezwalana wprawdzie błotem, ale już mocno poplamiona, niemająca jeszcze dziur i łachmanów, ale za chwilę gotowa ulec zgniliznie.

Około siódmej z rana do znajomego nam pokoju wbiega kot pani Vauquer, poprzedzając swą właścicielkę, wskakuje na półki i wacha garnuszki z mlekiem pokryte talerzami, pomrukując przy tym głośno. Po chwili zjawia się wdowa, przystrojona w tiulowy czepek, spod którego zwiesza się fałszywy warkocz źle przytwierdzony, i posuwa się, wlokąc za sobą powykrzywiane pantofle. Twarz jej stara, jakby obrzękła, z nosem zakrzywionym na kształt papuziego dzioba, ręce pulchne, cała osoba utuczona jak szczur kościelny, o nadzwyczaj pełnych kształtach, wszystko harmonizuje jak najlepiej z tym salonem, do którego wszystkimi szparami, zdaje się wciskać nieszczęście, gdzie z kątów wygląda zaczajona spekulacja, gdzie powietrze duszne i odrażające nie sprawia jednak wstrętu pani Vauquer. Oblicze jej, świeże jak pierwszy przymrozek jesienny, oczy otoczone siecią zmarszczek, których wyraz słodki jak uśmiech tancerki może w jednej chwili zmienić się w pochmurne spojrzenie rachmistrza, cała wreszcie jej osoba wyjaśnia lepiej gospodę, która, ze swej strony, stanowi niby jednolitą całość z jej osobą. Gdzie jest więzienie, tam musi być i dozorca, jednego nie można sobie przedstawić bez drugiego. Chorobliwa otyłość tej małej kobiety jest skutkiem życia, jakie prowadzi, tak jak tyfus jest wynikiem szpitalnych wyziewów. Spod starej, przerabianej sukni wymyka się podolek wełnianej spódnicy, świecący kłakami wypadającej waty. Ten widok przypomina nam salon, pokój jadalny i ogródek, przeczuwamy kuchnię, odgadujemy, jacy mogą być mieszkańcy domu. Widząc razem osobę i otoczenie, mamy dopiero obraz zupełny. Pani Vauquer ma lat około pięćdziesięciu i wygląda jak wszystkie kobiety, które doznały nieszczęść w swym życiu. Wzrok jej szklisty, a wyraz twarzy przypomina faktorkę, udającą gniew dla wyłudzenia większej zapłaty, a po chwili gotową na wszystko, by tylko polepszyć swój los, gotową wydać Grzegorza lub Pichegru, gdyby to było rzeczą jeszcze możliwą. To nie przeszkadza jej być „w gruncie dobrą kobietą”, przynajmniej takie jest zdanie jej lokatorów, którzy uważają ją za

biedną istotę, stękającą i kaszlącą wraz z nimi. Kto był pan Vauquer? Wdowa nie lubi rozpowiadać o nieboszczyku. Jakim sposobem utracił mienie? „Wskutek nieszczęść”, odpowiada kobieta. Wyznaje jednak, że się z nią niedobrze obchodził, a zostawił jej tylko dwoje oczu potrzebnych do płaczu, dom, w którym mieszka, i przekonanie, że żadne nieszczęście nie zasługuje na jej współczucie, bo sama przecierpiała wszystko, co tylko przecierpieć można. Słyszając panią drepzczącą po pokoju, kucharka, znana jako Gruba Sylwia, pośpiesza podać śniadanie dla stałych mieszkańców gospody. Wszyscy przychodzący stołownicy dostają tylko obiad, za co miesięcznie płacą trzydzieści franków.

W chwili, gdy się ta powieść zaczyna, stałych mieszkańców było tylko siedmiu. Na pierwszym piętrze były dwa najlepsze apartamenty, pani Vauquer zajmowała mniejszy, a drugi należał do pani Couture, wdowy po wojennym komisarzu rzeczypospolitej francuskiej. Pani Couture utrzymywała przy sobie młodą osobę, niejaką Wiktorynę Taillefer, której starała się zastąpić matkę. Dochód obu tych pań wynosił tysiąc osiemset franków. Na drugim piętrze, jedno mieszkanie zajmował człowiek w podeszłym wieku, nazwiskiem Poiret, drugie zaś pewien jegomość mogący mieć lat ze czterdzieści, nosił on ciemną perukę, czernił faworyty, uchodził za byłego kupca. Znano go powszechnie pod imieniem Vautrina. Trzecie piętro składało się z czterech pokoi. Jeden z nich wynajmowała stara panna nazwiskiem Michonneau, drugi zajmował były fabrykant włoskiego makaronu, włoskich ciastek i krochmalu, nazywany pospolicie ojcem Goriotem. Dwa pozostałe pokoje dawały schronienie różnym przelotnym ptakom, a najczęściej nieszczęśliwym studentom, którzy na stół i kwaterę mogli wydać najwięcej czterdzieści pięć franków miesięcznie, to jest właśnie tyle, ile płacili ojciec Goriot i panna Michonneau, ale pani Vauquer nie rada była takim mieszkańcom, przyjmowała ich tylko w takim razie, gdy się nic lepszego nie nastroczyło: uważała, że studenci zjadają najwięcej chleba. Obecnie jeden

z tych pokoi należał do młodego człowieka spod Angoulême, który przyjechał do Paryża studiować prawo. Liczne rodzeństwo studenta odmawiało sobie wielu wygód, byle zaoszczędzić sto dwadzieścia franków, które stanowiły jego całoroczne utrzymanie.

Eugeniusz de Rastignac, tak się bowiem ów student nazywał, był z rzędu tych młodych ludzi, których nieszczęście urabia do pracy, którzy pojmują od najmłodszych lat, jak wielkie nadzieje rodzice w nich pokładają, marzą o świetnej przyszłości i, rachując na potęgę nauki, starają się zastosować ją zawczasu do przyszłych potrzeb społeczeństwa, z którego zamierzają wyciągnąć dla siebie jak najwięcej korzyści. Gdyby nie jego ciekawe spostrzeżenia, gdyby nie ta zręczność, z jaką potrafił zająć pewne stanowisko w salonach Paryża, powieść niniejsza byłaby pozbawiona tych barw prawdziwych, które zawdzięcza przenikliwości jego umysłu i usilności, z jaką badał tajniki tego straszliwego położenia, które najstaranniej osłaniali ci, co je wytworzyli i ci, co je znosili.

Ponad trzecim piętrem był strych do suszenia bielizny i dwa poddasza, gdzie sypiał posługacz zwany Krzysztofem i Gruba Sylwia, kucharka. Oprócz siedmiu stałych mieszkańców pani Vauquer miewała rokrocznie ośmiu studentów z wydziału prawnego lub medycznego i dwóch stołowników mieszkających w tej samej dzielnicy. Ci wszyscy przychodzili tylko na obiad. Do obiadu siadało osiemnaście osób, a w razie potrzeby i dwadzieścia mogłoby się pomieścić w sali jadalnej, ale z rana tylko siedmiu stałych mieszkańców schodziło się na śniadanie i wtedy można by pomyśleć, że to kółko rodzinne zasiada przy stole. Wszyscy przychodzili w pantoflach i udzielali sobie wzajemnie różnych spostrzeżeń poufnych: zastanawiano się nad ubraniem i wyrazem twarzy obiadowych gości, roztrząsano wypadki ubiegłego wieczoru, a każdy wyraz tchnął szczerością i zaufaniem. Wszyscy stali mieszkańcy byli pieśczołkami pani Vauquer, która z dokładnością astronoma obdzielała ich staraniem i względami, stosownie do większej lub mniejszej zapłaty.

W każdym razie otaczano wyjątkowym szacunkiem te siedem istot, które tutaj wypadek zgromadził. Obaj mieszkańcy drugiego piętra płacili tylko po siedemdziesiąt dwa franki na miesiąc. Taka taniość, która zresztą istnieje tylko na przedmieściu Saint-Marcel, między la Bourbe i la Salpetriere, dowodziła, że wszyscy ci ludzie, z wyjątkiem pani Couture, uginali się pod ciężarem nieszczęścia mniej lub więcej widocznego. Toteż odzienie ich wytarte i zniszczone przedstawiało widok nie mniej opłakany, jak wnętrze ich mieszkania. Surduty mężczyzn były koloru zagadkowego, obuwie takie, jakiego nie ścierpiano by w obrębie eleganckiej dzielnicy, bielizna zniszczona, reszta odzieży tylko że się trzymała. Kobiety nosiły suknie wypłowiałe, farbowane i znów wypłowiałe, stare, cerowane koronki, rękawiczki wyglansowane od długiego użycia i chusteczki wyrudziałe, aż do dziur przetarte. Takiego to rodzaju odzież okrywała postaci po większej części dobrze zbudowane, o silnym organizmie, co się oparł wszystkim burzom życia, o twarzach zimnych, twardych, zartartych jak dukaty, które wyszły z obiegu. Spoza warg wywiedłych ukazywały się chciwe zęby. Widok tych ludzi kazał się domyślać dramatów spełnionych lub rozwijających się w chwili obecnej, nie tych dramatów, co to się odgrywają przy sztucznym oświetleniu, pomiędzy malowanymi kulisami, ale dramatów żywych i niemych, zastygłych, a tak silnie poruszających serce, dramatów nieprzerwanych, długotrwałych.

Stara panna Michonneau osłaniała swe oczy zmęczone daszkiem, który mógłby rozdrażnić samego anioła litości, składał się on z zatłuszczonego kawałka zielonej kitajki rozpiętej na drucie. Chustka otoczona nędznymi, powyskubywanymi frędzlami, okrywała kształty tak spiczaste, iż rzekłbyś, że pod nią kościotrup się ukrywa. Co pozbawiło tę istotę kształtów niewieścich? Musiała być kiedyś ładna i zgrabna. Cóż ją doprowadziło do stanu obecnego: występpek, zgryzota czy chciwość? Czy kochała zbyt wiele, czy była ostatnią z kobiet, czy tylko kurtyzaną? Może starość odrażająca była karą za

tryumfy młodości ambitnej spędzonej wśród uciech różnorodnych. Wzrok jej wygaśły przejmował chłodem, w pomarszczonej twarzy czytałeś groźbę jakąś niepojętą. Gdy się odezwała, dźwięk jej głosu przywodził na myśl konika polnego, co za zbliżeniem się zimy odzywa się ciągle w głębi zarośli. Opowiadała o sobie, że dozorowała pewnego starca cierpiącego na katar pęcherza, którego dzieci opuścili, sądząc, że się po nim niczego spodziewać nie można.

Ten to starzec zapisał pannie Michonneau tysiąc franków dożywotniego dochodu, co dało powód do niejednokrotnych zatargów z sukcesorami, którzy nie przestawali prześladować jej potwarzą. Chociaż gra namiętności wyryła się na jej twarzy, można było jednak dopatrzyć jeszcze pewnych śladów płci białej i delikatnej, co pozwalało przypuszczać, że ciało jej zachowało dotąd pewne szczątki piękności.

Pan Poirot był rodzajem automatu. Trzeba było widzieć go w chwili, gdy na kształt cienia szarego przesunął się po alei ogrodu botanicznego: zmięta czapka okrywała mu głowę, laska o żółtłej gałce z kości słoniowej gotowa była lada chwila wypaść z ręki niedołężnej, wygniecione poły surduta rozwiewały się z wiatrem, ukazując spodnie obwisłe, a nogi okryte sinymi pończochami plątały się jak u pijaka. Reszta stroju składała się z białej zbrukanej kamizelki i z żabotu z grubego, powyciąganego muslinu, który nie przystawał dobrze do chustki okręconej wkoło indyjskiej szyi. Toteż niejeden przechodzień pytał siebie, czy ten cień chiński należy rzeczywiście do śmiałej rasy synów Jafeta, fruwających po bulwarze włoskim? Jakiego to rodzaju praca mogła go tak powyłamywać? Jaka namiętność nadała ciemnobrunatny kolor jego szyszkowatej twarzy, która na rysunku wydałaby się przesadną karykaturą. Czym był ten człowiek? Może urzędnikiem w ministerstwie sprawiedliwości, w biurze, do którego kaci przedstawiają rachunek za dostawę czarnych welonów dla ojcobójców, za otręby do napełniania koszu, za sznurki i noże. A może do niego należało oczyszczanie szlachtuza

lub inna jakaś czynność nakazana przez komisję sanitarną. Jednym słowem, człowiek ten wyglądał na jedno z pracowitych bydła naszego młyna społecznego, na jednego z tych paryskich Ratonów, którzy nie znają nawet swych Bertrandów, wyglądał na jakąś sprężynę, która poruszała niedolę lub szumowiny społeczne, wreszcie był to jeden z tych ludzi, o których powiadamy: „A jednak i tacy są potrzebni”. Piękny Paryż nic nie wie o tych twarzach zbłądłych wśród cierpień moralnych i fizycznych. Ale Paryż to istny ocean. Na próżno sondę zapuszczać będziecie, nigdy nie zbadacie jego głębokości. Możecie go zwiedzać i opisywać, ale na cóż się zdadzą wasze starania? Tyłu jest badaczy sumiennych, co się tym morzem zajmują, a jednak pozostanie tam wiecznie jakaś ustronń nietknięta, jakaś nieznana pieczara, znajdują się zawsze kwiaty, perły, potwory, coś niesłychanego, o czym zapomnieli nurkowie literaci. Dom Vauouer to właśnie jedna z takich ciekawych potworności.

Dwie twarze stanowiły tam uderzającą sprzeczność z ogółem mieszkańców i stołowników. Chociaż cera panny Wiktoryny Taillefer pociągnięta była bladością chorobliwą, jaka cechuje zwykle dziewczęta cierpiące na bladaczkę, chociaż właściwy jej wyraz smutku i przygnębienia zlewał się harmonijnie z cierpieniem ogólnym stanowiącym tło tego obrazu, choć wydawała się zawsze zbiedzona i niepewna siebie: z tym wszystkim jednak twarz jej była młoda, głos wdzięczny i poruszenia żywe. Ta niedola młoda przypominała krzew o żółkłych listkach, przesadzony na grunt niewłaściwy. Jej włosy jasne wpadające w odcień miedziany, twarz delikatna, figura nadzwyczaj szczupła, jednym słowem postać cała tchnęła tym wdziękiem, który nowożytni poeci upatrują w statuetkach średniowiecznych. Oczy szare z czarnym odcieniem wyrażały chrześcijańską łagodność i poddanie się. Ubranie skromne i niedrogie wdzięcznie się układało na młodej i kształtnej figurze. W szczęściu dziewczę to byłoby zachwycające: szczęście jest poezją kobiety, tak jak strój jest jej dekoracją. Niechby uciecha balu rozla-

ła na tej bladej twarzy swoją barwę różaną, a wygody wykwintnego życia wypełniły i zarumieniły te policzki trochę już zapadłe, niechby miłość rozjaśniła smutne te oczy: a Wiktoryna mogłaby walczyć z najpiękniejszymi pannami. Nie знаła tego, co daje kobiecie jakby drugie życie: brakło jej gałganków i liścików miłosnych. Historia jej życia mogłaby dostarczyć wątku do powieści. Ojciec Wiktoryny sądził się w prawie nie uznawać córki, nie chciał jej mieć przy sobie, przeznaczał jej tylko sześćset franków rocznie, wreszcie sprzedał swoje dobra, chcąc wszystko przekazać synowi. Matka Wiktoryny umarła z rozpaczny u dalekiej swej krewnej pani Couture, która odtąd z macierzyńską troskliwością zaopiekowała się sierotą. Na nieszczęście wdowa po wojennym komisarzu wojsk rzeczpospolitej nic w świecie nie posiadała prócz swej wdowiej pensji, mogła więc kiedyś zostawić na łaskę i niełaskę świata biedne dziewczę bez doświadczenia i środków do życia. Dobra kobieta chciała na wszelki wypadek zaszczyć pobożność w sercu Wiktoryny, w tym celu co niedziela bywała z nią na mszy, a co dwa tygodnie wodziła ją do spowiedzi. I miała słusność, bo tylko uczucia religijne mogły wesprzeć w przyszłości to dziecko odrzucone, które nie przestało kochać ojca i corocznie udawało się do niego, niosąc przebaczenie swej matki, ale szło tylko po to, by wyczekiwać nadaremnie u drzwi ojcowskiego domu, które przed nią nielitościwie zamykało. Brat, jedyny pośrednik, na którego mogła rachować, ani razu nie odwiedził jej przez cztery lata, nigdy nie pośpieszył jej z pomocą. Wiktoryna błagała Boga, by ojca jej wyprowadził z błędu i zmiękczył serce brata, modliła się za obydwóch, nie obwiniając ich wcale. Natomiast pani Couture i pani Vauquer wyczerpały cały słownik obelg, nie znajdując wyrazu, który by dobrze określał barbarzyńskie postępowanie tych ludzi. Podczas gdy obie przeklinały niecnego milionera, Wiktoryna odzywała się łagodnie i wyrazy jej przypominały głos zranionego gołębia, który nawet krzykiem bólesci wyraża miłość.

Eugeniusz de Rastignac przedstawiał typ południowy, miał pleć białą przy czarnych włosach i oczach niebieskich. Cała jego powierzchowność i wszystkie ruchy zdradzały potomka szlachetnej rodziny, gdzie początkowe wychowanie bywa zwykle przesiąknięte tradycją wytwornego gustu. Oszczędny z potrzeby, musiał zadowalać się na co dzień przeszłorocznymi sukniami, jednak wychodząc na miasto, mógł się niekiedy ubrać nie gorzej od wytwornych strojnisiów. W dni powszednie nosił surdut stary, kamizelkę zużytą, czarny krawat zmięty i niedbale, po studencku zawiązany, spodnie odpowiednie do całego stroju i buty podzielowane.

Czterdziestoletni Vautrin z poczernionymi faworytami stanowiął niby przejście od tej młodej pary do reszty mieszkańców. Był to jeden z tych ludzi, o których lud prosty powiada: „To tęgi chłop!”. Szeroki w ramionach, biust miał potężny, mięśnie wydętne i ogromne, krępe ręce porośnięte na palcach kępami gęstych, ognistorudych włosów. Twarz, porwana przedwczesnymi zmarszczkami, miała w sobie jakiś wyraz okrucieństwa i nieľudźkości, ale łatwość i zgodność w obcowaniu z ludźmi zadawały temu łałam. Głos basowy, harmonizujący z rubaszną wesołością sprawiał miłe wrażenie. Nadskakujący był, a jednak lubił kpić ze wszystkiego. Gdy w domu zepsuł się jaki zamek, on go wnet rozebrał na części, nasmarował oliwą, naprawił i złożył, dodając zawsze: „Znamy się na tym”. Zresztą znał on wszystko: okręty, morze, Francję, zagranicę, interesy, ludzi, wypadki, prawa, hotele i więzienia. Gotów był pośpieszyć z pomocą każdemu, kto tylko bardzo się uskarżał. Kilka razy już pożyczał pieniędzy pani Vauquer i niektórym mieszkańcom gospody, ale kredytorowie woleliby umrzeć, niż zapóźnić się z wypłatą, bo Vautrin, pomimo swej miny dobroduszej, umiał spojrzeć niekiedy wzrokiem tak stanowczym i głębokim, że aż mrowie przechodziło. Miał szczególny sposób spluwania, który zdradzał człowieka obdarzonego wielkim zasobem zimnej krwi i niezdolnego cofnąć się przed żadnym występkiem, gdyby takowy miał go wybawić z dwu-

znacznego położenia. Niby sędzia surowy, zdawał się badać każdą rzecz do głębi, każde sumienie, uczucie każde zdawał się wzrokiem przenikać. Według przyjętego raz na zawsze zwyczaju, wychodził po śniadaniu i wracał na obiad, po czym znikał na cały wieczór i dopiero koło północy dostawał się znów do mieszkania za pomocą wytrycha, który mu pani Vauquer powierzyła. On tylko jeden dostąpił takiej łaski. To też był w jak najlepszych stosunkach z wdową, którą nazywał *maman* i obejmował czule za kibić (zapomniana to pieszczota!). Poczciwa niewiasta nie widziała w tym nic nadzwyczajnego, gdy w rzeczy samej jeden chyba Vautrin miał ramiona dość długie, by uścisnąć tę ciężką bryłę. Było to cechą jego charakteru, że płacił wspaniale po piętnaście franków na miesiąc za glorię (tj. kawę z wódką), którą pijał po obiedzie. Ludzie mniej lekkomyślni niż ta młodzież porwana wirem życia paryskiego lub ci starcy obojętni na wszystko, co nie dotyczyło ich bezpośrednio, potrafiliby wyjaśnić sobie wątpliwe wrażenie, jakie Vautrin sprawiał na otaczających. Człowiek ten znał i odgadywał zawsze sprawy innych, lecz nikt nie mógł zbadać nawzajem jego myśli i zajęć. Dobroduszość pozorna i ciągła uprzejmość służyły mu za przegrodę, którą się oddzielił od innych, pomimo to zdradzał niekiedy przerażającą głębię swego charakteru. Często wpadał w zapał godny Juwenala, natrzęsał się z prawa i tak zawzięcie chłostał wyższe towarzystwo, zarzucając mu sprzeczność z sobą samym, iż można było przypuścić, że bardzo był niezadowolony z ustroju społecznego i miał w swym życiu tajemnicę starannie ukrywaną.

Oczarowana, bezwiednie może, siłą czterdziestoletniego atlety i pięknnością młodego studenta panna Taillefer dzieliła pomiędzy nich swe spojrzenia przelotne i myśli tajemne, lecz obaj zdawali się nie myśleć o niej wcale, choć z dnia na dzień ślepy traf mógł zmienić jej położenie i pomieścić ją w rzędzie bogatych panien. Zresztą żaden z mieszkańców gospody nie zadawał sobie trudu, by zbadać, czy nieszczęścia innych były rzeczywiste, czy zmyśłone.

Każdy spoglądał na otaczających obojętnie, prawie podejrzliwie, a wynikało to z położenia, jakie względem siebie zajmowali. Wiadzieli, że nic nie mogą poradzić na swą niedolę, a dzieląc się troską nieustanną, wyczerpali cały zasób współczucia. Podobni do pary starych małżonków, nie mieli już sobie nic do powiedzenia. Stosunki istniejące pomiędzy nimi były też czysto mechaniczne i przypominały ruch kół niesmarowanych. Wszyscy zdolni byli przejść obok ślepego, nie spojrzawszy nań wcale lub wysłuchać obojętnie opowiadania o czymś nieszczęściu, wszyscy jednogłośnie patrzyli na śmierć, jako na rozwiązanie zadania nędzy, wobec której bladł obraz najstraszliwszego zgonu. Najszczęśliwszą z tych stroskanych dusz była pani Vauquer, królująca wszechwładnie w tym domu przytułku. Mały ogródek, który pod wpływem zimy, suszy i wilgoci stał się pustym i głuchym stepem, dla niej był zawsze rozkosznym gajem. Dla niej jednej ponętym był ów dom żółty i ponury, w którym powietrze, przejęte wonią zaśniedziałej miedzi, przypominało kantor weksli. Do niej należały wszystkie te celki ciemne. Ona żywiła wszystkich tych galerników skazanych na karę dożywotnią, ona posiadała nad nimi władzę niezaprzeczoną. Czyż biedne te istoty znalazłyby w całym Paryżu, za taką cenę jak u niej, pożywienie zdrowe i dostatnie, mieszkanie, które nie odznaczało się co prawda wdziękiem i wygodą, lecz mogło być porządnym i ochędźnym, boć to przecie od samych mieszkańców zależało. Wiedziała też, że gdyby dopuściła się jakiej krzywdy niesprawiedliwości względem jednego ze swych lokatorów, to ofiara zniosłaby ją bez szemrania.

Zgromadzenie podobne musiało przedstawiać i rzeczywiście przedstawiało na małą skalę wszystkie składowe części społeczeństwa. W gronie osiemnastu stołowników znalazło się to, co się znajduje i w szkole, i w świecie, znalazła się owa istota wzgardzona, ów kozioł ofiarny, służący wszystkim za cel do żartów. Na początku drugiego roku osobistość ta stała się dla Eugeniusza de Rastignaca

najwybitniejszą ze wszystkich, pomiędzy którymi skazany był przeżyć jeszcze dwa lata. Owym Patirasem był stary fabrykant makaronu, ojciec Goriot, na którego głowie malarz skupiłby światło całego obrazu. Jakim sposobem on, najdawniejszy mieszkaniec, zasłużył na tę pogardę graniczącą prawie z nienawiścią, na to prześladowanie miarkowane niekiedy litością, na to lekceważenie, z jakim spoglądano na jego nieszczęście? Czy wywołał je dziwactwem lub jaką śmiesznością, która zwykle surowiej od występku bywa sądzona?

Pytania te odnoszą się bezpośrednio do wielu objawów niesprawiedliwości społecznej. Może to leży w naturze ludzkiej, że najmniej litości mamy dla tych, którzy przez pokorę, słabość lub obojętność najwięcej znieść gotowi? Czyż nie lubimy wszyscy próbować sił naszych kosztem kogoś lub czegoś? Czyliż ulicznik, ta bezsilna istota, nie dzwoni u wszystkich drzwi w dzień mroźny, czy się nie wspina z wysiłkiem, by wypisać swe imię na świeżym, nietkniętym pomniku?

Ojciec Goriot, starzec prawie sześćdziesięciodziewięcioletni, przeprowadził się do pani Vauquer w 1813 roku, wycofawszy się poprzednio z interesów. Zajął zrazu mieszkanie należące obecnie do pani Couture i płacił tysiąc dwieście franków komornego, z miną człowieka, który mało dba o to, czy wyda pięć luidorów mniej lub więcej. Pani Vauquer odświeżyła wszystkie trzy pokoje (wzięła jednak z góry pieniądze, wystarczające aż nadto na pokrycie kosztów nędznego umeblowania), sprawiła firanki z żółtej bawełnianej tkaniny, fotele lakierowane wybite pluszem, kilka nędznych malowideł i tapety, którymi pogardziłby każdy szynk miejski.

Ojciec Goriot, którego wówczas nazywano z szacunkiem panem Goriotem, pozwalał się okpiwać z jakąś niedbałą wspaniałością, co sprawiło może, iż zaczęto go uważać za nieznającego się na niczym głupca. Goriot posiadał piękną garderobę, przybył bowiem ze wspaniałą wyprawą kupca, który porzucając interesy, niczego sobie nie odmawia. Pani Vauquer podziwiała osiemnaście koszul z płótna

holenderskiego, których cienkość tym bardziej wpadała w oko, że fabrykant makaronu wpinał do żabotu dwie duże szpilki brylantowe, połączone ze sobą złotym łańcuszkiem. Nosił zwykle garnitur szafiorowy koloru bławatka, ale co dzień brał świeżą kamizelkę z piki, pod którą wznosił się i opadał wydatny żołądek kształtu gruszkowatego, ozdobiony ciężkim łańcuchem z brelokami. Tabakierkę złotą zdobił medalion napełniony włosami, co naprowadzało na myśl, że właściciel musiał być szczęśliwym w miłości. Gospodyni nazywała go bałamutem, a on się uśmiechał wesołym uśmiechem mieszczanina, którego zręcznie po sercu pogłaskano. Wszystkie szafy (a nazywał je *ormoires* na wzór prostego ludu) zostały zapełnione rozlicznym sprzętem srebrnym. Iskrzyły się oczy wdowy, gdy z wielką usłużnością pomagała mu rozkładać na półkach łyżki wazowe i stołowe, narkrycie srebrne, nalewki do oliwy i sosów, kilka półmisek, złożony serwis do śniadania i wiele innych przedmiotów, z którymi Goriot nie chciał się rozstać, a wszystko to było mniej lub więcej piękne, każda sztuka ważyła pewną liczbę grzywien. Były to podarunki, które mu przypominały różne uroczyste chwile życia domowego. „Patrz pani — mówił, chowając półmisek i filiżankę z pokrywką, na której znajdowała się para gołąbków złączonych dzióbkami — oto jest pierwszy podarunek, którym dostał od żony w rocznicę naszego ślubu. Pocziwe biedactwo! Poświęciła na to wszystkie pieniądze zaoszczędzone z czasów panieńskich. Wiesz pani co? Wolałbym kopać ziemię paznokciami, niżeli z tym oto się rozstać. Z łaski Boga mogę do końca życia pić co rano kawę z tej filiżanki. Nie jestem biedakiem godnym litości, jeszcze mi na długo chleba wystarczy”. Oprócz tego bystre oko pani Vauquer dostrzegło w głównej księdze handlowej kilka cyfr, które dodane razem mogły dać nieocenionemu Goriotowi od ośmiu do dziesięciu tysięcy franków dochodu.

Od owego dnia pewien plan zrodził się w głowie pani Vauquer, z domu de Conflans, która miała wówczas lat czterdzieści osiem, a przyznawała się tylko do trzydziestu dziewięciu. Znajdowała, że

Goriot odznaczał się powierzchownością przyjemną i przyzwoitą, chociaż, co prawda, gruczołki łzowe jego oczu były nabrzękle i wydatne, wskutek czego musiał dość często ocierać sączącą się łzę. Zresztą łydki mięsiste i wydatne wraz z długim, prawie kwadratowym nosem i okrągłą, naiwnie głupowatą twarzą poczcziwca, znamięnowały przymioty moralne, które jak się zdaje, wdowa ceniła wysoko. Wyglądał na bydlę dobrze zbudowane, u którego uczuciowość przeważa nad rozsądkiem. Fryzjer Szkoły Politechnicznej przychodził co rano pudrować mu włosy, które zaczesane w *ailles de pigeon*, przyozdabiały jego oblicze, tworząc pięć pukli nad niskim czołem. Zakrawał trochę na nieokrzesanego prostaka, ale ubierał się nadzwyczaj starannie i niezmiernie obficie zażywał tabakę, wciągając ją do nosa z miną człowieka pewnego, że w tabakierce jego nigdy nie zabraknie makuby. Pani Vauquer zważyła to wszystko wnet po przeprowadzeniu się Goriota do jej domu, a wieczorem płonęła już żądzą zrzucenia całunu Vauquera i zmartwychwstania jako pani Goriot. Marzyła, jak to cudownie byłoby wyjść za mąż, sprzedać gospodę, podać rękę temu kwiatowi mieszczaństwa, stać się damą znaną w dzielnicy, zbierać ofiary dla biednych, urządzać niedzielne wycieczki do Choisy, Soissy, Gentilly, bywać kiedy się zechce w teatrze, w loży, nie czekając gratisowych biletów, które stołownicy przynosili jej niekiedy w miesiącu czerwcu, widziała w marzeniu całe Eldorado życia paryskiego. Nie wyznała dotąd nikomu, że składając grosz do grosza, zebrała czterdzieści tysięcy franków. Otóż, ze stanowiska majątkowego uważała siebie za partię stosowną. „Pod każdym innym względem nie jestem przecie mniej warta od niego” powtarzała, przewracając się w łóżku, jak gdyby pragnęła zapewnić się, że nie zbywało jej na wdziękach, których odcisk głęboki gruba Sylwia znajdowała co dzień w pościeli. Poczawszy od tego dnia, wdowa korzystała prawie przez trzy miesiące z fryzjera pana Goriota i porobiła niektóre sprawunki z zakresu toalety, tłumacząc się potrzebą utrzymania domu na pewnej

stopie, harmonizującej z szanownymi osobami, które w nim bywały. Zaczęła się bardzo starać o to, żeby zmienić cały skład mieszkańców, powtarzając, że odtąd będzie przyjmowała tylko ludzi wyborowych pod każdym względem. Każdy nowy przybysz musiał się dowiedzieć, że pan Goriot, jeden z najszanowniejszych i najznacześniejszych kupców paryskich, oddał jej domowi pierwszeństwo przed wszystkimi innymi. Zaczęła rozdawać ogłoszenia opiewające zalety domu Vauquer. Była to, według słów prospektu „jedna z najdawniejszych i najszanowniejszych gospód dzielnicy łacińskiej, odznaczająca się przyjemnym widokiem na dolinę, wśród której wznosi się fabryka gobelinów (można ją było dostrzec z trzeciego piętra), przytykająca do pięknego ogrodu, wzdłuż którego ciągnie się ulica Lipowa”. Dalej wspomniano coś o świeżym powietrzu i położeniu ustronnym. Ogłoszenie to zwabiło hrabinę de l’Ambermesnil, trzydziestosześcioletnią kobietę, która żyła nadzieją likwidacji i emerytury, należnej jej jako wdowie po generale poległym na polach bitwy. Pani Vauquer zaprowadziła u siebie stół wykwintny, kazała opalać salony blisko przez sześć miesięcy i tak sumiennie wypełniała obietnice prospektu, że musiała swego dołożyć. Ale za to hrabina nazywała panią Vauquer *chère amie* i obiecywała zwabić do niej baronową de Vaumerland i wdowę po pułkowniku hrabim Picquoiseau, które musiały jeszcze domieszkać do końca kontraktu w hotelu droższym niż dom Vauquer. Zresztą interesy finansowe tych pań powrócą do stanu kwitnącego, skoro tylko biura wojenne ukończą swą czynność. „Ale” — dodawała hrabina — „biura wojenne nigdy nic nie kończą”. Po obiedzie obie wdowy udawały się do pokoju pani Vauquer, gdzie zajmowały się pogawędką, popijając przy tym nalewkę porzeczkową i zającąc przysmaczki przeznaczone dla podniebienia samej gospodyni. Pani d’Ambermesnil pochwałała bardzo plan wdowy względem Goriota. Odgadła była jej myśl od razu i utrzymywała, że Gorioto wi nic zarzucić niepodobna.

— Ach, pani moja droga! — mówiła wdowa. — Ten człowiek zdrów jak ryba, zakonserwowany jest wybornie i może jeszcze bardzo uprzyjemnić życie kobiecie.

Hrabina udzieliła wspaniałomyślnie niektórych uwag dotyczących stroju pani Vauquer, który nie był wcale odpowiedni do jej pretensji. „Trzeba się trzymać na stopie wojennej”, mówiła. Po długich naradach obie wdowy udały się do Palais-Royal i kupiły w Galeries de Bois kapelusz z piórami i czepeczek. Hrabina pociągnęła przyjaciółkę do magazynu Małej Żanety, gdzie wybrano suknię i przepaskę. Dzięki wszystkim tym sprawunkom wdowa stanęła pod bronią i przypominała żywo szyld *du Boeuf à la mode*. Znalazła siebie tak zmienioną na korzyść, że uczuła żywą wdzięczność dla hrabiny i ofiarowała jej dwudziestofrankowy kapelusz, chociaż była to osoba „nieprzynosząca wielkiego zysku”. Miała wprawdzie zamiar prosić przyjaciółkę, by wybadała Goriota i zwróciła jego uwagę na wszystkie przymioty wdowy Vauquer. Pani de l’Ambermesnil podjęła się tej sprawy skwapliwie i trzymała starego fabrykanta w oblężeniu tak długo, aż jej udzielił posłuchania. Miała ona niekłamaną chętkę zbałamucić go na swój własny rachunek, ale stary okazał się tak nieśmiały, a pomimo to oporny, że wszystkie usiłowania spęzły na niczym i hrabina wyszła obrażona jego gburowatością.

— Mój aniele — powiedziała do swej najdroższej przyjaciółki — nie dasz rady z tym człowiekiem! Niedowierzający jest aż do śmieszności, przy tym taki to dusigrosz, takie głupie bydlę, że na nieprzyjemności tylko mógłby cię narazić.

Między panem Goriotem i panią de l’Ambermesnil rzeczy tak stały, że hrabina nawet widzieć go już nie chciała. Nazajutrz opuściła dom wdowy, zapominając zapłacić komornego za sześć miesięcy, pozostawiła trochę starych rzeczy wartych może pięć franków. Pani Vauquer poszukiwała zapalczywie zbiegłej przyjaciółki, ale w całym Paryżu nie umiano jej nic powiedzieć o hrabinie de l’Ambermesnil. Odtąd powracała często do tej sprawy oplakanej,

utyskując na swą łatwowierność, choć w rzeczy samej żadna kotka nie mogła być bardziej nieufna od niej, ale podobna była do tej licznej klasy ludzi, co to bliskim nie dowierzają, a obcym ufają bez granic. Jest to fakt moralny, dziwaczny, lecz prawdziwy, którego zarodek łatwo znaleźć w sercu ludzkim. Są ludzie, co nie spodziewają się już nic pozyskać u osób, z którymi żyją. Może czują, że zdradziwszy przed otaczającymi próżnię swej duszy, zasłużyli na ich sąd surowy, ale nie umieją się obejść bez pochlebstwa, trawi ich żądza błyszczenia pozorem cnót, których nie posiadają i pragną zdobyć szacunek lub serce obcych ludzi, choćby wkrótce mieli utracić oboje. Wreszcie bywają ludzie z natury już sprzedajni. Ci nie zrobią nic dobrego przyjaciółom lub bliskim, dlatego tylko, że to jest ich obowiązkiem, ale obcym gotowi ofiarować usługi, bo to pochlebia ich miłości własnej. Im ciaśniejsze jest koło, w którym się ich uczucie obraca, tym mniej zdolni są kochać, im więcej się ono rozszerza, tym czulszymi się stają. Pani Vauquer łączyła w sobie obydwie te natury małoduszne, fałszywe i nędzne.

— Gdybym ja był tutaj — mówił jej Vautrin — nie spotkałoby pani podobne nieszczęście. Potrafiłbym zedrzeć maskę z tej komediantki. O, bo ja się znam na takich sztuczkach.

Obyczajem wszystkich ludzi ciasnej głowy pani Vauquer nie wykraczała nigdy poza sferę faktów i nie zagłębiała się w badanie przyczyn. Chętnie zwałała na innych własne swe błędy. Toteż poniosłszy ową stratę, patrzyła na uczciwego fabrykanta makaronu jako na źródło swych nieszczęść i od owego dnia, jak mówiła, zaczęła się rozczarowywać. Teraz odgadła, dlaczego na nic się nie zdały wszystkie zaczepki z jej strony, również jak i kosztowna wystawność, jaką się otaczała. Teraz dopiero spostrzegła, że lokator jej miał, jak mówiła, swoje narowy. Musiała wreszcie zgodzić się na to, że nadzieja jej tak czule wykołyszana spoczywała na podstawie chimerycznej, musiała przyznać słuszność hrabinie, która dała dowód wielkiej przenikliwości, przepowiadając stanowczo, że wdowa

nie da sobie rady z tym człowiekiem. Rzecz naturalna, że niechęć, z jaką obecnie spoglądała na niego, przewyższała o wiele przyjaźń dawniejszą, nienawiść przerosła miłość i przybrała rozmiary zawiedzionych nadziei. Serce ludzkie spoczywa niekiedy, wspinając się na szczyt przywiązania, lecz prawie nigdy się nie wstrzymuje na stromej pochyłości uczuć nienawistnych. Ale pan Goriot był jednym z mieszkańców domu i wdowa musiała powstrzymywać wybuchy obrażonej miłości własnej, musiała tłumić westchnienia wyrwywające się na myśl o zawodzie i przemagać pragnienie zemsty, jak mnich, którego rozdrażnił przełożony. Ludziom płytkiego umysłu nędzne środki wystarczają do zadowolenia i złych, i dobrych skłonności. Wdowa wyczerpała całą złośliwość kobiecą, gotując swej ofierze szereg prześladowań tajemnych. Zaczęła od tego, że odrzuciła wszelkie dodatkowe ulepszenia zaprowadzone ostatnimi czasami w gospodzie. „Nie potrzeba nadal ani korniszonów, ani sardeli: po co te głupstwa?” powiedziała pewnego dnia do Grubej Sylwii i od tej chwili wróciła do dawnego programu. Pan Goriot należał do rzędu tych ludzi wstrzemięźliwych, co to dobijając się majątku, przywykają tak dalece do oszczędności, że ta staje się w końcu ich drugą naturą.

Obiad składający się z zupy, sztuki mięsa i jarzyn wystarczał mu aż nadto. Trudno było pani Vauquer udręczyć swego stołownika, bo w niczym nie mogła sprzeciwić się jego upodobaniom. Wpadała w rozpacz, nie mogąc znaleźć słabej strony w tym człowieku, zaczęła go lekceważyć i tak wpłynęła na innych mieszkańców swego domu, że wszyscy z wolna przejęli się jej niechęcią dla Goriota i przez lekomyślność stali się narzędziem jej zemsty. Ku końcowi pierwszego roku nieufność wdowy rozrosła do tego stopnia, że zaczęła się zastanawiać, dlaczego ten kupiec posiadający siedem lub osiem tysięcy liwrów dochodu, pyszne srebra i brylanty, których mogłaby mu pozazdrościć niejedna kobieta lekkich obyczajów, mieszka u niej, płacąc komorne tak małe w stosunku do znacznej fortuny. W tym